

Wyhodowała mnie prowincja



Z Krzysztofem KĄKOLEWSKIM rozmawia Lidia Wójcik

– Porozmawiajmy o Polsce.

– ???

– Napisał pan kilkadziesiąt znakomitych książek reporterskich i beletrystycznych, które opowiadają o naszej rzeczywistości. Jaka dzisiaj jest tak naprawdę Polska, o której coraz częściej mówi się i pisze z lekceważeniem, z pogardą, co nie zdarzało się nawet w najciemniejszych czasach stalinizmu. Czym wytłumaczyć te wszystkie wypowiedzi i artykuły, w których mówi się pogardliwie „ten kraj”, ciemnogród itd.?

– Polaków nienawidzą ci, którzy winni są ich upadkowi. Dziesięciolecia pracowali jako propagandyści czy aparaczkcy PZPR nad destrukcją i destabilizacją ducha społeczeństwa, a kiedy uległo częściowemu rozpadowi, tryumfują. Co innego piętnować wady narodowe, co innego nienawidzić. Na przykład: czy osławiony pan Andrzej Szczypiorski uważa brzydotę duchową Polaków za świetny towar sprzedażny, z którego żyje – czy tknięty jest rodzajem obsesji, fobii antypolskiej? (np. książka *Piękna pani Sandeiman*). Gdyby ktoś w jakimkolwiek kraju cywilizowanym pozwolił sobie na tak antysemitki czy antymurzyńskie wypowiedzi, jako rasista byłby potępiony. A tu nacjonaści antypolscy szaleją i czerpią z tego wielkie zyski. Np. w Niemczech chętnie widzi się złe słowa o Polakach pod warunkiem, że nie wypowiadają ich sami Niemcy. Częściowo usprawiedliwia to Niemców we własnych oczach i neutralizuje poczucie winy.

– *To poniekąd rozumiałe, że takie poglądy znajdują poklask za granicą, zwłaszcza wśród narodów, które mogą mieć wobec Polaków poczucie winy. Ale te obraźliwe słowa mówi się i pisze właśnie w Polsce. Pan zwraca zresztą na to uwagę w najnowszej książce „Diamant odnaleziony w popiele”.*

– Polacy doświadczyli w ciągu półwiecza wiele pogardy. Okłamywano ich, świętości narodowe były poniżane najpierw przez nazistów, potem przez komunistów. Ale gardząc, ciemniźcyiele niczego od Polaków nie wymagali poza posłuszeństwem. Rozprężenie było im i jest na rękę. Więc stali się lubiani i popularni.

– *Czy to znaczy, że jesteśmy narodem tak głupim?*

– Wytworzył się nowy, nieznany w dziejach – może poza plebem rzymskim – gatunek społeczeństwa, nastąpiła etatyzacja bytu, darmowe żłobki, przedszkola, całe szkolnictwo w zamian za poddanie się indoktrynacji. Darmowe, małe i niezdrowe mieszkania, bezrobocie zetatyzowane w postaci zatrudniania niepotrzebnych rąk do pracy. Zrównanie dochodów, z wyłączeniem rasy panów – komunistów, co pozwalało kontrolować tzw. masy. Masowe renty, wczesne emerytury. Zanik rozwarstwienia społecznego, zrównanie się poziomem materialnym i intelektualnym coraz większej liczby ludzi. Niespotykane ujednolicenie standardów życiowych i myślowych. Zwolnienie ze wszystkich obowiązków, poza posłuszeństwem, przy odcięciu od prawdziwych źródeł informacji i wiedzy. Redystrybucja dóbr materialnych w formie kradzieży.

Przez 50 lat zahamowania wolnego rozwoju wyhodowano nowy typ człowieka. To, co niedawno wydarzyło się na Białorusi, pozwala lepiej zrozumieć sytuację w Polsce. Białorusini odrzucili niepodległość na rzecz poddania się Rosji, poniżyli własny język, wynosząc nadeń język panów, „język kultury i cywilizacji” – język rosyjski. Na skutek wybuchu w Czernobylu najbardziej ucierpiała Białoruś. Naród białoruski pragnie jednak, by rządili nim ci, którzy sprowadzili na ich kraj zagładę atomową. Oni bez promieniowania żyć nie chcą. Promieniowanie zabija się wódką. Jednym z wyjaśnień tajemniczego zachowania się ludzi w krajach byłego komunizmu jest alkoholizm w nie znanej ludzkości skali, jaki objął Rosję, Białoruś, Ukrainę i Polskę. Pojawiają się sygnały fizycznej i umysłowej degeneracji całej Słowiańszczyzny poza Czechami i Słowenią.

– *Białorusini to jednak naród chłopski, bez własnej inteligencji, który nigdy nie miał własnej państwowości. Porównania z Polską nie wydają mi się trafne.*

– Inteligencji polskiej dawno już nie ma. Są pracownicy umysłowi. Działania przeciw niej najpierw polegały na ludobójczym, fizycznym jej wyeliminowaniu przez nazistów i komunistów, a potem stworzeniu na jej miejsce ersatzu – udyplomowanych urzędników, posłusznych papug ideologicznych lub wychowanych na najzaciętszych wrogów polskości, dla niepoznaki wypowiadających się w języku polskim.

W zniszczenie polskości włożono o wiele więcej wysiłków, wydano o wiele więcej pieniędzy niż na Białorusinów. Stworzono fikcyjną polskość, konkurencyjną do prawdziwej i nie mającą z nią nic wspólnego. To była dekoracja, fasada, którą

obmyślił Stalin. Zostawił nam Mickiewicza, orła, sztandar biało-czerwony. Za tym kryło się to samo, co gdzie indziej za gwiazdą, sierpem itd. Ale w stanie wojennym pozwalało emerytom i działwie widzieć w inwadujących Polskę żołnierzach nie najmitów radzieckich, tubylcze siły wysłane na pierwszy rzut, oślanające wojska imperialne – ale wojsko polskie.

Zjawisko białorusinizacji rozumiałem najlepiej w Suchedniowie, kiedy po wybuchu w Czernobylu mieszkańcy z własnymi dziećmi maszerowali w pierwszomajowym pochodzie, wierząc, że zagrożenie opadami radioaktywnymi to propaganda wroga. Wystawiali własne dzieci na promieniowanie, tak ufali władzy. Dziś tak samo ufają. Kielecczyzna, przez wieki serce Polski, uległa największej erozji ze wszystkich regionów naszej ziemi. To był bastion komunizmu.

– *Czasy stanu wojennego, Czernobyl – o których mówimy – spędzał Pan w Suchedniowie, pisał Pan kolejne książki, wydawał w oficjalnych wydawnictwach. Wielu pisarzy działało wówczas w opozycji...*

– Podejrzałem już wówczas, że to może być licencjonowana opozycja. Marzec’68 uważałem za walkę dwu frakcji komunistycznych o władzę. Ucierpieli niewinni Żydzi i niewinni Polacy, których obwiniono o to, co robili komunistyczni antysemita. Nad wszystkim czuвано w Moskwie.

Środowisko marcowe, przywódcy opozycji przedsolidarnościowej, wreszcie lewicowego podziemia nie należeli do moich, że tak powiem, wielbicieli. Poddawszy się ich władzy, niewiele bym dokonał, a sam straciłbym wszystko. Pan Szczypiorski, pan Woroszyński nie pociągali mnie jako wodzowie. Różniło nas prawie wszystko, potem okazało się, że dokładnie wszystko, bo i stosunek do komunizmu. To nie dotyczy tylko mnie. Ja jestem tu prochem i pyłem. Ale dalej nikt nie wie, co znaczyła Magdalenka, Okrągły Stół – jawne przymierze komunistów i lewicy postsolidarnościowej?

Gdyby uznawać reguły Lenina, można by powiedzieć, że tamto było pierwszym etapem przemian w komunizmie, „kierieńszczyzną”, a teraz będzie prawdziwy, drugi etap rewolucji antytotalitarnej i niepodległościowej.

A okropnością „Solidarności” było to, że każdy mógł tam wstąpić. Znalazło się w niej wielu ludzi, z którymi nie chciałem mieć do czynienia.

– *W połowie lat siedemdziesiątych, kiedy ukazała się najśłynniejsza Pańska książka „Co u pana słychać?”, oskarżano Pana o brak patriotyzmu za to, że rozmawiał Pan z nazistami.*

– Jeden z późniejszych skrajnie lewicowych opozycjonistów, wtedy socjalistyczny nacjonalista, zademonstrował mnie w tv PRL – zarzucając mi, że jestem tubą nazizmu w Polsce. Był rok 1973 i takie oskarżenie brzmiało wówczas jak kara śmierci.

Od tego czasu zaczęły się kłopoty, wyrzucono mnie z redakcji „Kultury” właśnie dlatego, że nie chciałem zrezygnować z rozmów ze zbrodniarzami niemieckimi. To było tuż po podpisaniu traktatu Brandt–Gomułka i chodziło o niemieckie kredyty. Nie należało więc drażnić Niemców. Poza tym dochodziła inna delikatna sprawa: jeden z nazich, z którym rozmawiałem, był przedtem dygnitarzem w NRD, drugi więziony w PRL został w zagadkowych okolicznościach wypuszczony przedterminowo.

Neonaziści, na których zjazd się wkradłem w przebraniu, byli popierani i częściowo finansowani przez ZSRR. Potem próbowano zastawiać na mnie pułapkę, szantażowano mnie. Grożono mi, że nigdy już nie wyjadę za granicę, nie przestraszyłem się, powiedziałem: obym mógł tylko wyjechać do Suchedniowa, powiat Kielce, to będzie dobrze. W stanie wojennym okazało się, że nawet do Suchedniowa nie mogłem wyjechać. Ale ja nie mam żalu, że wyrzucano mnie z redakcji albo czegoś ode mnie wymagano, a ci, którzy to robili, mieli swoje racje.

– *Nasze rozmyślenia o Polsce z lat siedemdziesiątych, osiemdziesiątych wydają się dzisiaj śmieszne. Polska strasznie się zmieniła. Bogaci uchodzą za biednych, łobuzy za porządnymi ludźmi, chamy za dżentelmenów. Jedyne wytłumaczenie, jakie znajduję dla takiego stanu rzeczy, to fakt, że w Polsce zniszczono elity.*

– Ja myślę, że naród polski przestał istnieć. To są tylko mieszkańcy terenów między Bałtykiem a Karpatami.

Popularność tak zwanych polityków, których oskarżono o kradzież, sprzeniewierzenia i matactwa, wskazuje, że wpływ mentalności świata przestępczego ciągle wzrasta w siłę i liczebność. Okradanym imponuje ten, co ich okrada, automatycznie uważają oni, że nadaje się na ich przedstawiciela np. w Sejmie.

– *Czy to wynika z głupoty, braku patriotyzmu? Czy w ogóle w Polsce można jeszcze mówić o patriotyzmie? Czy możliwe byłoby dzisiaj, co zdarzyło się w 1920 roku, kiedy po 120 latach niewoli Piłsudski zebrał do walki z bolszewikami ponadmilionową ochotniczą armię?*

– Ha, ha, ha, Jaruzelski zebrał armię, która zaatakowała własny naród i poddała go niewoli obcego mocarstwa. Patriotyzm został ośmieszony w przewrotny sposób. Szydząc z nas – gen. Jaruzelski kazał nazywać się patriotą. Nie tylko zanik patriotyzmu, ale zanik instynktu samozachowawczego obserwujemy dziś w Polsce. Płaszczyna prywatna łączy się z narodową. Nigdzie na świecie nie ma tylu oszukanych, którzy nabierają się na fikcyjne domy wysyłkowe, fikcyjne banki i im powierzają oszczędności całego życia. W Moskwie doszło do rozruchów, obrabowani walczyli z milicją w obronie tego, który ich okradł. Podobnym oszustom w sferze politycznej ludzie są gotowi powierzyć siebie, swoje dzieci. To najlepiej widać na prowincji.

– *Żyjąc po trochu w Warszawie i Suchedniowie, jak Pan widzi Polskę lokalną, czy samorządność sprzyja odradzaniu się lokalnych społeczności, czy tylko umacnianiu się Polski szwagrów i kolesiów?*

– Nie ma chyba rzeczy gorszej niż samorząd. W Polsce samorządy są ściśle powiązane z administracją, zapewniają sobie nieograniczoną kontrolę nad życiem lokalnych społeczności, hamują ich rozwój. W Suchedniowie główną dziedziną życia społecznego jest wyszynk i złodziejstwo „nieznanych sprawców”. W moim ogrodzie bandy agresywnych pijaków kradną wszystko: obcinają gałęzie z żywych drzew, ścinają kwiaty, wykopują całe krzewy.

– *Słyszę jakieś smutne historie. Wydawało mi się, że Suchedniów jest dumny z Pana – znanego pisarza.*

– Nie orientuję się w uczuciach suchedniowian do mnie. Kieleckie i suchedniowskie władze wręcz nienawidzą mnie. Zaczęło się na przełomie lat 60. i 70., gdy stanąłem w obronie Puszczy Świętokrzyskiej, którą skazano na zagładę. O ekologii jeszcze nikt nie słyszał, w oczach władz najpiękniejszy las Europy, który zachował drzewostan jak przed tysiącem lat, to było drewno, za które były dewizy.

Wydany podówczas prasie w Kielcach rozkaz ówczesnego I sekretarza KW PZPR pana Zarajczyka, by mnie atakować, przestrzegany jest do dziś. Aleksander Zarajczyk należał do tzw. żelaznego trójkąta sekretarzy wojewódzkich (Białystok, Kielce, Rzeszów, jakiś czas Lublin). Białystok domagał się przyłączenia województwa do ZSRR. Zarajczyk usiłował zdobyć niezależność od Warszawy chcąc bezpośrednio uzależnić się od Moskwy. Opiekunem Kielc był konsul ZSRR w Krakowie, doradztwem i przykładem służyły władze ukraińskiego miasta Winnica.

Teraz napadają na mnie za to, że bronię społeczeństwa kieleckiego przed zarzutem dokonania pogromu w 1946 r., wskazując, że pogrom zorganizowały i wykonały własnymi środkami komunistyczne siły policyjno-wojskowe i paramilitarne.

W stanie wojennym byłem przedmiotem napaści na zebraniach aktywu partyjnego za walkę przeciw innemu komunistycznemu szaleństwu – próbie zburzenia historycznego i zabytkowego Suchedniowa, by wybudować na tym miejscu socjalistyczne miasto bloków z płyty. Najpierw na skutek nakazu naczelnika chciano mi mój 140-letni dworek zburzyć, mimo że jest zabytkiem. W stanie wojennym naczelnik zapowiedział, że wysiedli mnie z Suchedniowa siłą. Potem otrzymałem anonim z pogroźką, że jeśli nie przestanę wtrącać się w nie swoje sprawy, dom zostanie spalony. Moje dokumenty świadczące o prawie własności giną z akt miejscowego urzędu. Naczelnik chciał odebrać mi 1/3 mojej posiadłości pod wymyślonym pozorem. Potem okazało się, że jego syn potrzebował terenu na budowę ciastkarni.

Bywają dawane anonse, że sprzedają swoją posiadłość. Wtedy nachodzą mnie ci, którzy dali ten anonse i chcą wykupić moją ziemię. W ciągu ostatnich lat miałem siedem włamań. Zabrano mi wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Lodówki nie chciało im się wynosić, więc po ostatnim włamaniu porabiali ją na drzazgi. Znawcy przypuszczają, że to nie był wandalizm, lecz szukanie. W sferach komunistycznych niegdyś twierdzono, że np. Jerzy Putrament czy Jan Gerhard przechowywali między ściankami lodówek dokumenty kompromitujące przeciwników – lub przyjaciół politycznych.

– *Suchedniów zamiast azylu stał się dla Pana wygnaniem, katorgą?*

– Nie o to chodzi. Suchedniów, Kielecczyzna jest największym skarbem dla mnie jako dla pisarza. Tu nie tyle jest moja pracownia, ile laboratorium pisarskie. Początkowo szukałem tematów do opowiadań i powieści nasyconych nastrojem, tajemniczością, słodyczą, zatopionych w ogrodach przeszłości.

Otrzymałem jednak wielką naukę. Lepiej, gdy temat jest dramatyczny, pełny grozy. Taka jest teraz dla mnie Kielecczyzna. Wnikam w jej głębię. Badam tragedie ostatnich 56 lat. Przecież ja odziedziczyłem przyjaciół jeszcze po moich dziadkach po kądzieli, którzy tu zamieszkali już w 1903. Mam drogi dojść. Mogę wnikać w wiele spraw.

– *Wie Pan o Kielecczyźnie więcej niż ktokolwiek inny. Być może jest Pan dla wielu ludzi groźny.*

– Tak niektórzy uważają. Z wielkiej książki, którą przygotowuję od lat i która nosi roboczy tytuł „Legendy zdradzonej ziemi”, już wyłączyłem dwa szczepy – dziczki do osobnych książek – to historia rzeczywista pogromu w Kielcach pt. „Umarły cmentarz”, którą kończę, i *Diamant odnaleziony w popiele*. Obszerną story planuję o narkotycznym śnie alkoholowym okolicy. Wg jednych niezależnych źródeł 50%, wg innych 60% męskiej populacji w wieku od 15 lat aż do przedwczesnej śmierci tu pije. Ciekawe, że także coraz wcześniej w ciągu dnia zaczyna się i trwa nieprzerwanie to pogrążanie się w sen – rodzaj śpiączki, letargu. Istnieje zawód pijaka; konsumenci – narkomani alkoholowi żyją w symbiozie społecznej i gospodarczej z dystrybutorami alkoholu, których można nazwać baronami alkoholowymi, gdyż przywóz, produkcja i rozprowadzanie alkoholu jest tu najważniejszą dziedziną życia gospodarczego.

Do władzy doszedł po wojnie w Suchedniowie element z najniższych warstw, stara inteligencja wymarła, jej dzieci po-uciekały, mieszkają w Krakowie, Warszawie albo za granicą. A ja pamiętam jeszcze stary, piękny Suchedniów. Bo ja należę właściwie do XIX wieku.

– ???

– Cała moja rodzina zwrócona była ku przeszłości, moi rodzice urodzili się jeszcze w wieku XIX. Moje ciotki, wujowie wciąż wspominali odległe czasy, sięgali do epoki powstania styczniowego. Moja matka była więc przedstawicielką tego konglomeratu szlachecko-inteligenckiego, który już nie istnieje. To był inny świat i ludzie żyli inaczej, w sposób bardziej zmienny.

– *Zmienny? Przecież wędrówka ludów zaczęła się dopiero po II wojnie.*

– Ależ nie, ta wędrówka zaczęła się już właściwie po powstaniu styczniowym. Mój dziadek Kąkolewski stracił wszystko, co miał, w powstaniu, dorabiał się na nowo, zmieniał miejsca zamieszkania, przeniósł się w końcu do Zagłębia, gdzie kupił kopalnię... Ale nie chcę snuć wspomnień szlacheckich, bo dzisiaj wszyscy przypisują sobie korzenie szlacheckie.

– *Jak pogodzić emigrację, ucieczkę do Suchedniowa z Pana licznymi i dalekimi podróżami?*

– Jeździłem dla moich książek. Teraz Kielecczyzna, Suchedniów jest moją zakłątą, egzotyczną krainą, moim odkryciem, moim Meksykiem, moim Afganistanem. Tamtą, określną drogą wróciłem do miejsca, skąd wyruszyłem. A obecnie za granicę jeżdżę na wieczory autorskie.

– *Napisał Pan kiedyś: „Moim ojczystym krajem jest Polska, matczynym krajem Dolina Suchedniowska, na północy Góry Świętokrzyskie, stąd wywodziła się moja matka, tu nawet gdy mieszkała daleko, w obcych miastach – rozgrywała się większość jej snów”. W wielu Pańskich książkach czuje się wyraźnie owo przywiązanie do matkowizny, czuje się, że tak naprawdę nikomu nie udaje się oderwać od ziemi swojej matki.*

– Samego mnie dziwi, że to wszystko, co dzisiaj się dzieje w Suchedniowie, nie przeszkadza mi zagłębiać się w nocnej ciszy ogrodu, wśród drzew, których biografie znam dobrze – jak się narodziły, skąd się wzięły, czy przyniesiono je z lasu, sprowadzono z Wiednia, czy są wysianymi wnukami wielkiego dębu ściętego przed laty. Dotykając stopami ziemi wiem, jaka jest do 22 metrów w głąb i co jest w niej zakopane przed Rosjanami, Austriakami, Niemcami i znów przed Rosjanami i czego nigdy nie wydobyto.

Ja jestem człowiekiem dwu światów: lasu (Puszczy Świętokrzyskiej) i parku (Łazienkowskiego). Mój ojciec przyjechał na wakacje w te okolice w 1911 r. poznał tu moją matkę, która chodziła na pensję w Suchedniowie, jedyną w Królestwie Polskim z językiem wykładowym polskim. Porwał prawie moją mamę w daleki świat, do wielkich miast, do swoich spraw, do swojej rodziny. To osobna historia.

Ja urodziłem się wprawdzie w Warszawie, ale Suchedniów przyciągał mnie w najcięższych latach wojny. W Suchedniowie poznałem coś, co nazwałbym strukturą prowincji. W wielkim mieście nie poznaje się ludzi i prawdziwego życia. To wielki błąd, że polscy pisarze żyją wyłącznie w wielkich miastach (inaczej niż w Ameryce) i nie są powiązani z prowincją. Singer był wielkim pisarzem, bo nosił w pamięci świat polskiej prowincji i tylko o tym umiał pisać. Więc ja Suchedniowowi zawdzięczam poznanie rzeczywistości.

– *Może również fakt, że potrafi Pan pisać o prawdziwym życiu. Dzisiaj bardziej chyba niż kiedykolwiek chcemy przeczytać coś autentycznego, co opowiada o prawdziwej rzeczywistości, bo straszliwie nam się przejadły wszystkie te nowe prozy i postmodernizmy.*

– Uważam, że coraz bardziej jesteśmy uzależnieni od mody, od reklamy. Nawet dziecko się ma, lub „parkę”, bo tak wypada, tak jest modnie. Trzeba pić piwo, bo tak każą, trzeba palić papierosy, bo nakazuje to posłuszeństwo wobec reklam. Po okresie socrealizmu lansuje się literaturę tzw. eksperymentalną, ukazującą tzw. warsztat. Ja warsztat uważam za osobistą sprawę pisarza, prawie sekretną. Pisarze muszą temu ulegać, bo tak każą krytycy, a od nich zależy reklama książki. Nikt jej nie będzie czytać, ale się o niej dowiaduje. Autorzy są dumni, że nie są czytani. Tego chcieli. W dodatku najłatwiej być trudnym pisarzem.

– *Pańskie widzenie Polski, literatury jest dość dalekie od tego, co się powszechnie mniema i za słuszne uznaje. Dlatego żyje Pan właściwie poza środowiskiem literackim...*

– Formalnie należę nawet do zbyt wielu związków, bo aż do SPP, Pen-Clubu, ZAiKS-u, ale dla mnie gdy jest dwu pisarzy na raz, to już o jednego za dużo. Gdy ogłaszano w szkole wagary, unikałem pójsia z całą klasą, tylko siedziałem w domu lub bocznymi uliczkami zwiewałem zarówno przed kolegami, jak i nauczycielami, do lasu. Im bardziej inni wołają życie grupowe i grupują się, tym bardziej mnie ono odstręcza. Nie odpowiadają mi także przywódcy środowiska literackiego, nie podzielam ich poglądów. Społeczeństwo wyobraża sobie, że pisarze to są jacyś samotnicy, a tak naprawdę w Warszawie pisarz siedzi na pisarzu. Czy dla literatury coś z tego wynika?

Krzysztof Kąkolewski



Krzysztof Kąkolewski urodził się w 1930 roku w Warszawie, studiował dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim i na uniwersytecie w Strasburgu. Zawód reportera zaczął uprawiać bardzo wcześnie, mając zaledwie dziewiętnaście lat. Pracował w wielu gazetach i czasopismach, m.in. w „Kulturze”, „Literaturze” i przede wszystkim pisał książki. Należy do czołówki polskich reportażystów XX wieku, jest autorem kilkudziesięciu książek wielokrotnie wznawianych, których łączny nakład przekroczył milion egzemplarzy. Najśłynniejsza z nich, *Co u pana słychać* (rozmowy ze zbrodniarzami niemieckimi) miała pięć wydań, *Jak umierają nieśmiertelni* – 3 wydania, *Wańkowicz krzepi* – 4 wydania. Jest także autorem powieści, opowiadań, scenariuszy, która to twórczość nie przesłoniła jednak sławy Kąkolewskiego jako wybitnego przedstawiciela literatury faktu.

W pracy reportera liczy się nie tylko talent pisarski, równie ważna, a może w ogóle najważniejsza jest umiejętność szukania bohaterów, docierania do ludzi, zadawania pytań. Kąkolewski pisał przed wielu laty: „*Samo postawienie pytania jest ważniejsze niż odpowiedź. Może jej nie być, to jest też odpowiedzią. Odpowiedź może być kłamliwa, ale kłamstwo jest faktem, informacją o bohaterze cenniejszą niż jego szczere wyznanie*”. Więc stawianie pytań ludziom, o których chce się pisać, wymaga nie mniej talentu niż samo pisanie.

Swoim doświadczeniem z pracy reportażysty Krzysztof Kąkolewski próbuje dzielić się ze studentami dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego, niektórzy jego uczniowie są już uznanymi dziennikarzami. Sam zaś za jedyne, wielkiego mistrza reportażu uznaje Melchiora Wańkowicza, z którym przez wiele lat pozostawał w przyjaznych kontaktach.

Kąkolewski – jak mało kto chyba – zna polską rzeczywistość, umie znajdować w niej wielkie tematy. W poszukiwaniu bohaterów, tematów godnych opisanie docierał do najodleglejszych zakątków Polski, bywał w Niemczech, Ameryce, Afganistanie, Meksyku... W ostatnich czasach wrócił do swojego wielkiego tematu – Kielecczyny, która jest wielką literacką miłością pisarza, z którą łączą go także związki rodzinne, przyjaźnie, zabytkowy dom... Od wielu lat pracuje nad książką o pogromie kieleckim – jednym z najbardziej dramatycznych i zagmatwanych zdarzeń w powojennej historii Polski. Krążąc wokół tego tematu natrafia na rozmaite wątki i sprawy, które stają się oddzielnymi tematami na kolejne książki. Te publikacje sprowadzają niekiedy na pisarza złośliwe posądzenia o nadmierny patriotyzm lokalny. Kąkolewski jednak doskonale rozumie wartość trwania w „małej ojczyźnie”, gdzie wszystko jest ludzkie, na miarę człowieka, gdzie rytm życia wyznaczają pory roku, wschody i zachody słońca, gdzie poznaje się ludzi i prawdziwe życie, co dla pisarza stanowi wielką wartość.

L. W. K